

Końcem będzie Wieża

Przy polanie – otoczonej gęstym, wilgotnym i zamglonym borem – siedział Chłopiec. Oparty o chropowate korzenie drzewa, które wręcz brutalnie wypchały ziemię, próbował bardziej otulić się cienkim płaszczem. Mgła, wypełzająca spomiędzy pni, sprawiała, że lekkie ubrania były wilgotne. Małutkie, jeszcze niepozabawione dziecięcej pulchności dłonie, drżały, wciskając się w poły materiału. Chude palce o paznokciach pokrytych brudem spazmatycznie pocierały ciało, próbując się rozgrzać. Nieważne jednak, co robił Chłopiec, nic nie chroniło go przed zimnem, jakie na stałe ogarnęło okolice. Z sinych ust z każdym oddechem wydobywał się kłęb srebrzystej pary. Chłód wciskał się milcząco w każdą szczelinę – cicho pokrywał lodową pierzyną rośliny, a glebę zamieniał w twarde posłanie.

Wszystko było nieruchome – wiatr nie poruszał ani jednym liściem, a sztywne kępy wysokiej trawy nie wydawały żadnego szelestu. Bór wydawał się martwy. Na rozłożystych gałęziach ptaki nie wiły swych gniazd, a w koronach drzew nie szumiał ich śpiew. W krzakach próżno było szukać ruchu lisa, myszy czy innego leśnego stworzenia. Mrówki nie podążały za ścisłym, pośpiesznym harmonogramem, pająki zaprzestały pleść misterne nici. Szepty lasu zamilkły. Wszystko zdawało się zniknąć, pozostawiając jedynie cichą polanę.

Było coś jeszcze, co bardziej trwożyło Chłopca. Cień. Cień, który go okrywał, gdziekolwiek by się nie udał. Ciężka, smolista obecność muskająca jego skórę. Otaczała go wszędzie, gdzie nie poszedł. Dlatego nieważne ile razy wbiegał do lasu, pragnąc odejść, zawsze wracał na tę samą łąkę. Zimną, okrytą mrokiem jak ciernistym płaszczem.

Źródłem ciemności była Wieża.

Budowla stała na środku polany. Była ogromna – jej średnica musiała sięgać przynajmniej kilkudziesięciu metrów, a szczytu nie można było dojrzeć, ponieważ ginął w chmurach i mgle. Jak krwawa zadra na zieleni wyrastała bez żadnego pardonu. Nie prowadziły do niej ścieżki, a okolicy nie ozdabiało nic, co mogłoby sugerować jej istnienie. Wieża nie wyglądała podobnie do niczego, co znał. Niczego co pamiętał... Chłopiec podejrzewał wyłącznie, że gdzieś musiały mieścić się dzwony. Każdego wieczora bowiem przeraźliwie grzmiały, wyrывая go ze snu. Dźwięk wzywał go do siebie. Jak katedralne bicie mówiące, że to już czas, *czas by przyszedł*.

Wieża była zbudowana z niejednolitego tworzywa, wyglądającego miejscami na metalicznie gładkie, a tuż obok na szorstko wypukłe. Raz skrzyła nieuchwytną purpurą, gdzie indziej pochłaniała głębią indygo, niekiedy odsłaniając zwykłe, grafitowe bloki. Jej podstawa była niewidoczna z miejsca, w którym przebywał Chłopiec, jednak całość onieśmiała ilością zdobień. Dekoracyjne żłobienia pięły się po Wieży, rozmywając się na wysokościach. Freski w różnym stadium – od wyglądających ma nowe, wręcz niedokończone, jakby artysta tylko na chwilę oderwał się od pracy, po te, na których kolor pękał i blakł. Na kunsztownie ułożonych gzymsach tkwiły rzeźby: ludzi, zwierząt oraz skrzydlatych istot, których Chłopiec nigdy wcześniej nie widział. Jednakże pomimo tego, były złudnie podobne do czegoś. Rzeczy, której nie mógł dotknąć myślami, a o której im bardziej starał się przypomnieć, tym bardziej zapominał.

Co bardziej frasujące z Wieży biło ciepło – falami, jak bicie serca. Zatarte przez wszechogarniający chłód, ale niezaprzeczalnie obecne. W każdym innym przypadku dziecko cieszyłoby się z przynajmniej odrobiny schronienia przed zimnem, ale było coś nie tak. Kryło się w nim fałszywe bezpieczeństwo. Żar nie przypominał tego z płonącego ogniska, bliskości dwóch ciał czy puchowej kołdry. Był to nęcący, kusicielski gorąc. Nienaturalny dla grubych murów budowli... dlatego Chłopiec wycofał się w jak najdalszy skraj polany. Chciał uciec od paraliżującego uczucia.

Jakże ironiczne było to, że po kilkunastu (*kilkudziesięciu?*) godzinach (*dniach?*) to właśnie ciepło sprawiło, że wstał z wahaniem. Podnosząc się, nie odrywał wzroku od Wieży. Kołyszącym ruchem, zbierając się na odwagę, postąpił krok w stronę budowli. Skwitowany on był drżeniem rąk oraz dławiącym ściskiem w gardle. (*Ale tam było tak ciepło. Tak przyjemnie. Chodź, przyjdź, przyjdź do mnie*). Każdy z jego niepewnych kroków skwitowany był mlaskiem grząskiego podłoża. Na miękkiej ziemi polany nie wyrastały żadne kwiaty. Usiana była jedynie wysoką, ostrą trawą, której żdźbła raniły Chłopcu łydki.

Im bliżej był Wieży, tym bardziej się obawiał. Trząsł się przez jej kolosalną, duszącą obecność. Wyciągała ku niemu ramiona, głaskała, przytulała jakby czekała na powrót syna marnotrawnego. Szeptła do ucha, że nie będzie mógł już zawrócić. Budowla bowiem hipnotyzowała niczym jaskrawy wabik. Chłopiec w tamtej chwili był jak owad, siedzący na skraju kielicha dzbanecznika. Strome, śliskie ściany rośliny ostrzegałyby przed niebezpieczeństwem, lecz on był zbyt upojony wizją słodczy nektaru, jaki na niego czekał.

Powietrze stawało się coraz gęstsze. Każdy wdech, zamiast przynosić ulgę, ścisnął duszą płuca. Wrażenie wzrastało, aż do momentu aż Chłopiec dotarł do wejścia. Wrota były grubo ciosane, wręcz surowe, odstawały od finezyjnej oprawy. Łuk, na którym były osadzone,

wysokością dorównywał do koron drzew w borze. Portal był zdobiony w stylu gotyckim z licznymi ornamentami, a ostre skosy łagodniały ku dołowi. Drzwi przytłaczały wielkością. Onieśmiewały, jakby były przygotowane specjalnie dla kogoś ważnego, kogoś, kto miał prawo je otworzyć.

Wrota, mimo pewnej groźnej nuty, były piękne. Chłopiec sięgnął, by je otworzyć, lecz wtedy zobaczył szczelinę. Wejście było uchylone. Żeby dostać się do środka, wystarczyło tylko je popchnąć. Kiedy to zrobił, drzwi nie skrzypiały przeraźliwie, jak mógłby podejrzewać. Wręcz odwrotnie – płynnie otworzyły się, nie wydając żadnego dźwięku. Zajrzał do środka i spotkał się z widokiem wąskiego na kilka metrów pomieszczenia. Nie było pograżone w ciemności, ale w ciepłym jedynie lekko przytłumionym świetle.

Z niepewnością postawił krok do przodu. Kiedy nic się nie stało, powoli wszedł do środka. Gdy przekroczył próg, atmosfera stała się mniej przytłaczająca, a oddech stał się lżejszy. Ostrożnie stąpał po długim korytarzu, którego koniec wydawał się niezwykle odległy. Na końcu chyba były drzwi, ale Chłopiec nie był pewien – *może to jakaś kolejna ozdoba?* Poza tym, nie poświęcił tej myśli dużo uwagi. Gdyż nie tylko to go zajmowało. Rozkoszował się ciepłem przepływającym przez zmarznęte ciało. Ustępującą sztywnością w skostniałych kończynach.

Rozejrzał się lepiej dookoła. Całe pomieszczenie było pełne różnych przedmiotów, czy to rozstawionych przy ścianach, czy na kamiennych podwyższeniach. Jednak gdy zaczął bliżej przyglądać się rzeczom, z niemalą obawą stwierdził, że żadnego z nich nie umie nazwać, rozpoznać. Nie chodziło o to, że je zapomniał ich nazwy – były one bardzo znajome, ale zarazem osobiście zdeformowane. Chłopiec podszedł do najbliższego przedmiotu: *to była szczotka? A może grzechotka?* Obiekt miał uchwyt, który był spłaszczony i rozciągnięty poziomo, nieregularnie w poszczególnych miejscach. Faktura była miła w dotyku, delikatna, lecz nie ustępująca pod naciskiem. Na jednym krańcu tkwił rozszerzający się owal. Głowica była pełna wypustek oraz wystających elementów o niejednorodnych formach. Im więcej myślał on nad zidentyfikowaniem rzeczy, tym mniej znajoma i wyraźna się zdawała.

Po kilku minutach beczynnego wpatrywania Chłopiec zauważył, że ściany zaczęły się chwiać w jego oczach. Widok rozmywał się i drżał, wywołując zawroty głowy. Powoli narastały, dezorientując dziecko. Z niemalym trudem oderwał wzrok od rzeczy – z poczuciem straty. Uciekał spojrzeniem za każdym razem, gdy natrafił nim na jakiś przedmiot. Wlókł się powoli do przodu, oddalając od bramy. Po pewnym czasie skupiony na płytkach korytarza trafił na ścianę, w której naprawdę były osadzone drzwi.

Po obu stronach namalowany był ten sam człowiek. Natomiast jego poza różniła się ogromnie. Kobieta (ponieważ to właśnie przedstawicielka tej płci została przedstawiona) wydawała się zastygnąć w dwóch skrajnych emocjach. Po lewej zamarła we wrzasku, klęcząc. Łzy ciekły po jej twarzy w rozpacz, rozdzierającej męce. Po prawej zaś siedziała, trzymając zawiniątko przy piersi, czule się uśmiechając. Wbrew pozorom pierwsza postać nie przeraziła Chłopca. Nie przstraszyła go, jak wszystko inne do tamtej pory. Ogarnęło go za to przeszywające współczucie. Kobieta, mimo że przedstawiona jedynie na malowidle, kryła w sobie wielkie cierpienie, które znajomo go dotknęło.

Patrząc ukradkiem na nią, nacisnął na klamkę i uchylił drzwi. Powoli wchodząc, dostrzegł okrągłą salę – wręcz szpitalnie białą, z szarymi elementami. Strumień wąskiego światła spływał z sufitu. Część pomieszczenia była zacieniona, ale nie wyglądała groźnie, więc bez zbędnego zastanowienia Chłopiec wszedł do środka. Rozglądał się, stawiając małe, ostrożne kroki. Było bardzo spokojnie, odmiennie od niepokojącego korytarza. Aczkolwiek gdy oddalił się od drzwi, te zamknęły się, trzaskając. Nagły hałas przeciął ciszę. Dwa kobiece głosy krzyczały, mieszając się ze sobą. Chłopiec przestraszony kulił się do momentu, gdy do tonów dołączył kolejny. Tym razem był to płacz. Płacz niemowlęcia, a po nim radosny śmiech, który uciszył jedno wołanie.

Ale drugie nadal trwało...

Chłopiec rozglądał się, ale nie mógł znaleźć źródła dźwięków. Wdawały się one płynąć zewsząd, otaczając go. Po czym nagle ucichły, pozornie nigdy nie będąc prawdziwymi. Później, ponieważ w umyśle Chłopca pozostały nadal żywe. Zacisnął powieki. Z trudem dyszał, próbując złapać oddech. Płuca ciężko zaciskały się, a w uszach szumiała krew. Powoli jednak wszystko się uspokajało, kojąc echem radosnego śmiechu. I wtedy poczuł dotyk. Spoczywający na ramionach pełen miłości uścisk, ale po otwarciu oczu, nikogo nie zobaczył.

Z poczuciem straty, pewnego rodzaju rozczarowania czy samotności, spojrzął na pozostałą część pokoju. Na krańcu pomieszczenia coś się poruszyło, skryte w cieniu. Kiedy Chłopiec przyjrzał się, spostrzegł, że coś dużego kroczyło w jego stronę. Cofnął się w przestachu, gdy z mroku wydobyła się sylwetka. Wysoka, przewyższająca go prawie trzykrotnie, humanoidalna istota, odziana w białą szatę. Po spojrzeniu na jej twarz z niemałym szokiem uświadomił sobie, że był to byt przedstawiony na murach Wieży. Wrzeźbiony w duszę budowli. Sama Istota wyglądała jak rzeźba. Wykonana przez arcymistrza, który prawie tchnął w jej postać życie, ale nadal tylko rzeźba. Ruchy były pełne

elegancji i eteryczne, ale zbyt płynne, żeby mogły należeć do biologicznej istoty. Zbyt płynne, by nie należały do Niego. Było to w nieokreślony sposób przerażająco majestatyczne.

Najbardziej niewiarygodna była głowa, usiana trzema parami skrzydeł: najwyżej osadzone, atramentowoczarne należące do kruka. Środkowe, orle, najbardziej rozłożyste ze wszystkich oraz ostro zakończone i ostatnie, śnieżnobiałe, których łabędzie pióra kontrastowały z kruczą czernią. Na twarzy tkwiły również trzy pary oczu w kolorze błękitnego lodu, które wydawały należeć do ślepeca. Jak gdyby nie były wcale potrzebne do widzenia. W nieuchwytnym spojrzeniu tkwiła ezoteryczna świadomość. Nie spostrzegająca nic, a ogarniająca nim wszystko.

Istota była tak bardzo odmienna od wszystkiego, co znał, lecz nie obawiał się jej. Właśnie przez brak tego bladego, niepokojącego poczucia, że skądś ją kojarzy, czuł się przy niej bezpiecznie. Postać zwyczajnie pasowała do tego miejsca, tak jakby była integralną częścią Wieży – Strażnikiem i Przewodnikiem dbającym o wieczny ład.

Stworzenie stanęło nad Chłopcem, zasłaniając go cieniem. I tak w milczeniu, spoglądało w jego stronę przez chwilę, po czym gwałtownie się odwróciło. Płynnym krokiem przeszło do końca pomieszczenia i opuściło go. Coś nakazało mu wyjść razem ze skrzydlatą istotą, chociaż ona sama nie nakazała tego żadnym gestem. Bez ani jednego wypowiedzianego słowa podążał za nią. Było to naturalne, jak oddychanie, jak bicie serca, jak zasada, nad którą nie musiał się zastanawiać.

Przeszedł na kolejny korytarz – o wiele krótszy niż poprzedni, u którego końca mieściła się mała furtka, z kawałkiem wystającego płota. Jasne drewno wystawało ze ściany, łącząc się z nią. Kiedy ją minął, zauważył, że Strażnik nie stoi tuż obok. Za to jego nogi łaskotała miękka, wilgotna trawa. Mokra przez spadające krople wody z pobliskiego, małego stawiku, który usiany był sterczącymi pałkami wodnymi. Kawałek dalej stał ktoś małych rozmiarów, brodzący w stawie do kostek. Osoba, odwrócona bokiem do Chłopca chlapała w niego, chichocząc. Podciągnięte do kolan spodnie Ptaki ćwierkały wesoło, siedząc na skraju drewnianej budki, zawieszanej na drzewie.

Z niejaką podejrzliwością podszedł do postaci, a ta szybko się odwróciła. Było to drugie dziecko, którego twarz była niewyraźna dla Chłopca. Krótkie, lekko zakręcone włosy lśniły pszenicznym blaskiem. W kącikach ust brzmiała wesołość, ale ogół rysów pełnej buzi uciekał jego wzrokowi. Jak gdyby popadając w synestezję, nie mógł zobaczyć, lecz czuł całym sobą. W świeżym zapachu wiatru i wody kryło się zaufanie. Prosta, nieskomplikowana ufność. Dźwięki przyrody nosiły ślad ciepłych promieni słońca. Łagodnych, czułych, złocistych. A

pomimo że niczego nie dotykał, zatapiał się w miękkości. Podobnej do kociego futra, kochającego uścisku, okrywającego ramiona koca.

Gdy Chłopiec otrząsnął się z przytłoczenia sensorycznego, próbował podejść do drugiego dziecka. Wyciągnął powoli dłoń do przodu, lecz nim postąpił krok, te zaśmiało się ponownie i uciekło za kolejną furtką, krzycząc „*berek!*”. I pobiegł. Naprawdę pobiegł, chcąc złapać postać. Jednak gdy popchnął drewniane wejście, za nim czekał jedynie Strażnik. Stojący w miejscu, w sztywnej postawie bez wyrazu. Sceneria zmieniła się na wąską tubę – klatkę schodową, o klaustrofobicznych rozmiarach. Bez śladu łąki, jeziora czy kogokolwiek innego prócz samego Chłopca.

Nie mając co zrobić poza zdeorientowanym wzruszeniem ramion, poszedł w górę schodów. Wysokie, opasłe kamienne bloki, z których składały się schody, nie pomagały w ich pokonywaniu. Ich nieregularny kształt oraz gładka, śliska powierzchnia sprawiały, że wspinaczka była powolna. Raz musiał podnosić stopy aż do kolan, wręcz wspinać się rękami na kolejne stopnie, a potem przez parę metrów szedł przez prawie płaską nawierzchnię, która różniła się najwyżej kilkoma centymetrami. Strażnik nie wydawał się mieć takich samych problemów, co Chłopiec – sunąc w górę pomieszczenia w harmonijnym rytmie. Próby kontaktu dziecka z nim spełzały na niczym – nie ważne, jak bardzo się starał, nie mógł go dogonić. A Istota nie reagowała na żadne dźwięki czy wołania. Zawsze statyczna.

Chłopiec szedł i szedł przez tak wiele stopni, że zdawałyby się ciągnąć kilometrami, gdy wreszcie natrafił na koniec klatki schodowej. Była ona zwieńczona najzwyczajszą, drewnianą klapą na suficie, do której prowadziła mała, chybotliwa drabinka. Nie widząc innej drogi, wspiał się po trzeszczących szczeblach, aż do wjazdu. Chwytając za chłodny, metaliczny uchwyt popchnął je do góry. Nic. Nawet nie drgnęło. Spanikowany nagłą perspektywą uwięzienia w ciasnej przestrzeni szarpnął po raz kolejny, z większą siłą, przez którą klapa otworzyła się z hukiem. Kątem oka zauważając wyzwajający skrawek błękitnego nieba, z pośpiechem wyczołgał się na zewnątrz, szybko stając na nogi na twardej ziemi.

Rozejrzał się i to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Ogromne połacie terenu, ciągnący się kilometrami krajobraz, otaczał go ze wszystkich stron. Głębia malachitowego odcienia zieleni wylewała się spomiędzy traw. Strzeliste ośnieżone szczyty gór, jak maszty świata piętrzyły się i majaczyły w oddali. Sam Młodzieniec stał na podwyższeniu, pozwalającym dojrzeć pełnie pejzażu. Ulotne barwy i kontrasty przenikały się wzajemnie. Dolina u jego stóp, jarząca w zielono-złoty refleksach, falowała na wietrze. Porywista bryza mierzwiła włosy i łopotała połami ubrań. Rzadkie skupiska drzew nie chroniły przed żywiołem, sprawiając, że ten w szaleństwie wolności tańczył dookoła jego ciała. Wszystko

jawilo się jakoby improwizowany układ, występ bez publiczności, gdzie każdy element jest samowystarczalnym aktorem, grającym główną rolę. Gwałtowny szum podobnie do orkiestry, chóru wyśpiewującego poszczególne tony, wzmacniał atmosferę wyobcowania – bycia malutkim pośród wielkości natury. Słońce z każdą chwilą coraz bardziej kryło się za zszarzałymi obłokami. Tłumiło ostre snopy światła, które w migotliwym połysku smakowały powietrza. Mgła lizała kostki Młodzieńca, wpatzonego w monumentalną panoramę. I patrzyłby się wieki, na piękno roztaczające się przed nim, gdyby nie delikatne stuknięcie w ramię. Nadal nie mogąc oderwać wzroku, nawet nie zdziwił się na dotknięcie, a powoli, chciwie sunąc spojrzeniem po szczegółach krajobrazu, odwrócił głowę.

Przed nim stała kobieta, a za nią mężczyzna, koło niego dziecko z parą dorosłych, za nimi młoda dziewczyna oraz staruszka i gromada nastolatków, a dalej kolejni i kolejni, i kolejni. Cały tłum ludzi, których twarze (tak samo, jak poprzednio) były bardzo ekspresyjne, ale bez szczególnych detali. Kobieta stojąca najbliżej podeszła do niego powoli, po czym ostrożnie, jakby podchodząc do spłoszonego zwierzęcia, położyła dłoń na jego policzku. Pierwszą myślą było to, że jej ręka jest taka ciepła, delikatna. Na następną nie zdążył, ponieważ po sekundzie dotyk zniknął, a ona minęła go i odeszła. Nie miał czasu za nią podążyć, gdyż podeszła do niego kolejna osoba, klepiąc przelotnie po ramieniu. Ktoś go przytulił, ktoś zmierzwił włosy, kolejny jedynie ledwie musnął bark, przechodząc obok. Cały tłum przetaczał się sprzed Młodzieńca, każdy wchodząc z nim w jakąś interakcję. Tak wiele bodźców, sprawiało, że zamarł w miejscu, jak lalka pozwalając sobie wszystko, na co ludzie mieli ochotę. Orzeźwił go świst powietrza, poprzedzający ból na twarzy.

Ktoś właśnie go spoliczkował.

Uderzył go i po prostu poszedł dalej, pozostawiając czerwonego sińca na jego skórze. Zamrugał kilkakrotnie – nie miał nawet czasu poczuć się zły, gdy kolejna osoba złapała go pod ramię i podskakując tanecznie, zakręciła wkoło.

Potem ktoś go kopnął, uściśnął, popchnął, pocałował, opluł. A Młodzieniec po prostu stał. Stał i nic nie robił. Nie sprzeciwiał się niczemu, nie mógł sprzeciwić – jak szmaciana marionetka. Dopiero po jakimś czasie, gdy już z tłumy nie pozostał nikt, ruszył się. Ostry wiatr smagał jego zmaltretowane ciało, ale już o to nie dbał. Ani o ciężkie krople deszczu spływające z płaczących chmur, które zastępowały mu łzy. Przejęła go apatyczna obojętność na świat zewnętrzny. Jedynie nieśpiesznym krokiem dotarł do klapy, otworzył ją i skoczył w dół. Nawet nie zdziwiło go to, że nic sobie nie zrobił, a mimo że przeszedł przez tę samo wejście, co wcześniej wylądował w innym miejscu.

Następnie wszystko zlało się w nieskończony wir różnorakich drzwi, pokoi, klatek, piwnic, miejsc, głosów, zamazanych twarzy, rozmytych postaci i niejasnych sytuacji. Krzyki przeplatały się ze śmiechem, zirytowanym warczeniem oraz spokojną ciszą. Ogromne przestrzenie niemieszczące się w ramach fizyczności Wieży, dawno przestały dziwić. Aczkolwiek wewnątrz niej bawiono się w grę pozorów. W lasach, pomiędzy pniami drzew stały kolumny, rozgałęziające się, marnie imitujące rzeczywistość. Kiedy padał deszcz czy śnieg, pochodził on tak często z chmur, jak i z kamiennego sklepienia. Istniały też ściany, niewidoczne, niedające odejść, uciec. Młodzieniec mógł biec przed siebie, odbijając się od krawędzi, które przenikał, zarazem nie mogąc ich przekroczyć. Potem przestał zwracać uwagę na czas – to czy spędził w pomieszczeniu kilka minut, czy kilkanaście godzin w pewnym momencie przestało być oczywiste. Dzień przeplatał się z nocą jak w dynamicznym tańcu, podczas którego partnerzy walczą o prowadzenie. Świt, zmierzch, południe, poranek, północ. Pory dnia zmieniały się w niejednostajnym cyklu, pozbawionym narzuconych zasad kolejności. Niejednokrotnie tkwił on w miejscach bez okien, ze sztucznym światłem, które nie dawało odpowiedzi. Jednak trudno byłoby je uzyskać, kiedy nie stawia się pytań – kto zastanawiałby się nad godziną, tkwiąc w wiecznej pętli? Czas był względnym pojęciem w Wieży. Zastanawiającym, ale równie mocno błahym, nieistotnym, niezmiennym całej reszty jej formy.

Był zagubiony. Mętne, splątane pasma myśli, kłębiły się w umyśle – drgały w uniesieniach, niby to w ostatnich wdechach. Obślizgłe, zimno-wilgotne uczucie osiadło na jego ramionach. Był zmęczony – przechodził przez kolejne wejście. Po jakimś czasie już nawet nie patrzył, czy Strażnik wchodzi za nim – wiedział, że tego nie robi. Zostawi go samego, a potem doprowadzi do dalej i znowu, i znowu. To był labirynt, bez wyjścia, bez wejścia, bez ścian i bez podłogi. Niekończący się las tajemnic oraz zagadek pozbawionych odpowiedzi.

Monotonnym krokiem przekroczył próg kolejnego pomieszczenia. Drzwi trzasnęły za nim z przeraźliwym zgrzytem, a po pierwszym kroku od razu się cofnął, kiedy oślepił go blask reflektorów. Przytłaczający biały blask opanował jego wzrok. Później wszystko działo się zbyt szybko. Głośny szum ulicy. Wyjący przeraźliwie klakson. Dziki pisk wyrrywający się z jego ust. Ręce popychające Młodzieńca do przodu i cień pędzącego samochodu mijający go o cal.

Potem w jego uszach odbijał się tylko ciężki dźwięk uderzającego o beton ciała i cisza – przenikająca każde włókno jego istoty. Szybko rozprzestrzeniająca się kałuża moczyła mu buty. Najpierw powoli, stawiając nogę za nogą, wycofywał się. U jego stóp leżał człowiek.

N-nie... nienienienie, przecież... przecież jeszcze przed chwilą to on tam stał. To nie jego wina, skąd mógł wiedzieć, że to się stanie. To nie jego wina. To nie jego wina. To nie jego wina.

Syreny pogotowia zaczęły wyc, ale on tam nie został. Biegł do wyjścia, chcąc się wydostać. UCIEKAJ – krzyczał mu w głowie instynkt. Szarpnął za klamkę. Nic. Nawet nie zadrżała. Wszystko ucichło, lecz drzwi nadal nie ustępowały. Młodzieniec walił pięścią w drewno, nie zważając na wbijające się drzazgi. *Nie chciały się otworzyć. Dlaczego nie chciały się otworzyć?!*

– Błagam, wypuść mnie! Wypuść mnie, wypuść mnie, wy... – obłąkańczo błagał tak długo, że przestał rozumieć sens wypowiedzianej prośby. Słowa z biegiem czasu stawały się coraz mniej zrozumiałe, przechodząc w zawodzenie. Młodzieniec zwinął się w pozycji embrionalnej. Strach i chłód wnikał do jego kości. Palce u rąk drgały, zasłaniając głowę w najbardziej pierwotnym strachu świata. Wszystko było takie realne, takie bliskie, takie bolesne bo znał tę sytuację.

Już kiedyś ją przeżył.

– Nie chciałem tego. Nie chciałem... – Wyszeptał cicho, nieobecnie, jakby do siebie.

...

Mężczyzna nie wiedział, ile czasu spędził, leżąc na zimnych kafelkach sali, a ile, zanim ponownie spróbował otworzyć drzwi. Jednakże, kiedy to zrobił, ustąpiły z taką łatwością, jak gdyby były od zawsze otwarte. Chwiejnym krokiem, trzymając się ściany, przeszedł na drugą stronę. Pierwszym co zobaczył były niewidzące oczy Strażnika, czekającego po drugiej stronie. Ten niewzruszony stał bez wyrazu, jak gdyby jego odwieczną rolą było czekanie na Mężczyznę (*a może tak właśnie było?*).

Pomieszczenie było dziwną odmianą... klatki schodowej? Chyba tak mógł to określić z braku lepszego słowa. Różne rodzaje korytarzy, schodów w górę i w dół, półpięter, balkoników zapętlały się, prowadząc do wielu drzwi. Nie spoglądając na nie dwa razy, Mężczyzna po prostu usiadł, osuwając się po ścianie. Nie miał już sił. Był tak bardzo zmęczony. Tak bardzo zrezygnowany mnogością pokoi, w których był. Chciał po prostu zostać w miejscu. Za każdym razem, kiedy myślał, że coś sobie przypomina, zauważa sens wędrówki po budowli – wszystko mu umykało. Znajome dźwięki, sytuacje, odczucia znowu

stawały się odległym déjà vu. Miał tego dość. Dość ciągłego kluczenia między pokojami. Dość niejasnych wspomnień, które były zbyt rozmyte, żeby naprawdę je zrozumieć. Wycieńczenie szybko przeszło w zirytowanie, a te z kolei w rozgoryczenie. *Dlaczego w ogóle wchodził do tej przeklętej Wieży? Czego kluczył w tym labiryncie, nigdy nie pytając o koniec?*

– Powiedz mi! – Krzyknął, patrząc ze złością na statyczną postawę Strażnika. – CHCĘ WIEDZIEĆ! Po co tu jestem?!

Miał spędzić tam wieczność? Czy to była jakaś kara? Co musiał zrobić, żeby na nią zasłużyć? Kto byłby w stanie wybudować takie więzienie? Nie pamiętał. Nie ważne, co robił, nie pamiętał.

– Po co tu jestem...

Strażnik podniósł rękę i wyłonił dłoń z białego rękawa szaty. Swoim smukłym palcem wskazał na niepozorne drzwi. Nie były one zdobione ani wielkie. Prawdopodobnie sam Przewodnik musiałby się nachylić, żeby przez nie przejść. Mężczyzna widział dziesiątki, jak i nie setki takich drzwi, od kiedy wszedł do Wieży. Prawdopodobnie było to po prostu kolejny pokój z niejasną sytuacją, ale coś kazało Mężczyźnie podejść do wejścia. Strażnik, co było niespotykane, nie zniknął pozostawiając go samego, a wszedł do środka.

Kiedy Mężczyzna poszedł za nim, oślepiło go światło. Nie było to mdłe, ciepłe światło ognia czy tajemnicze, purpurowe refleksy, jakie napotkał w Wieży. Nie przypominał też ostrego słońca lub lamp samochodowych. Był to czysty blask tysięcy gwiazd spływający z góry. Kolosalna hala skryta za niepozornymi drzwiami, otoczona była ogromną, szklaną kopułą. Pomieszczenie było tak długie, że jej kraniec rozmywał się na granicy wzroku. Szkło sufitu zlewało się z nocnym niebem tak, że nie potrafił określić, na jakiej wysokości mieścił się szczyt. Na ścianach o kolorze grafitu nie była umieszczona żadna inskrypcja, rzeźbienie czy inne zdobienie. Bładoniebieska podłoga mieniła się, przypominając klejnoty akwamarynu. Nie spoczywało jednak na niej nic, oprócz jednego. Umieszczonego w centralnym punkcie – oświetlonego strumieniami światła – obiektu.

Mężczyzna spojrzał na Strażnika, w którego oczach po raz pierwszy zaczęła się błada, prawie niewidoczna emocja. Prawdopodobnie nawet by jej nie wychwycił, gdyby nie to, że za każdym razem szukał jej w obliczu istoty. Uczucie było, aczkolwiek na tyle zamaskowane, że nazwanie go było trudne. *To była nostalgia? A może nawet pewien rodzaj smutku? Zanim*

zdołał rozpoznać tę emocję, Strażnik odwrócił wzrok i gestem nakazał Mężczyźnie za nim iść. Kiedy zbliżyli się do obiektu, zobaczył, że była to trumna – cała ze szkła. Dosłownie kilka kroków przed nią, Przewodnik zatrzymał się, czekając. Mężczyzna ledwo to zauważył, idąc dalej, był zafascynowany przedmiotem, który wydawał się nadprzyrodzony.

W trumnie była ciecz, krystaliczna, niezmacona ani jedną drobiną brudu. Odbijało się w niej oblicze Mężczyzny. Zmarszczki wyrzeźbione przez podróż po Wieży, po raz pierwszy zostały przez niego rzeczywiście zobaczone. Pasma srebrnych włosów przeplatały się z czarnymi niemi. W swojej postaci mógł zobaczyć wszystko, co do tej pory doświadczył. Zajrzeć we wspomnienia, jakie naznaczyły jego spojrzenie. Dotknąć serca, które razem z krwią przepompało miliony uczuć. Wyczuć każdą myśl przepływającą w wartkim potoku przez umysł.

Z dziecięcą ciekawością sięgnął ręką w głąb trumny. Chciał zaczerpnąć, naprawdę dotknąć tego wszystkiego jeszcze raz... Jednakże nie natrafił na nic. Zatrzymał się na zimnej tafli, ponieważ woda nie była wodą, a lustrem. Przez to odkrycie nawet nie zwrócił uwagi na fakt, że już nie musiał się pochylać, żeby zajrzeć do środka. Jego ręce stały się malutkie, zaciskając na przezroczystej nawierzchni. Ważniejsza była wiedza, przez którą oczy rozszerzyły się z szoku. Białe luki w myślach, które zostały wypełnione, pożerając wszystkie emocje, jakie do tej pory targały Chłopcem.

– A tak... – Przerwał, wbijając puste spojrzenie w szklaną trumnę.

Dziecko bez zawahania się stanęło na podwyższeniu, które okalało przedmiot, po czym weszło do środka. Chłopiec położył się wewnątrz na plecach. Zanim zamknął oczy, zwrócił się w stronę Strażnika i wyszeptał.

– Już pamiętam.